



Bogusław Chrabota

INFLUENZA MAGNA

**U PROGÓW
WIECZNOŚCI**

INFLUENZA MAGNA

**U PROGÓW
WIECZNOŚCI**

Copyright © by Bogusław Chrabota, 2021

Copyright © for this edition by Ringier Axel Springer Polska, 2021

Warszawa 2021

Korekta: Lena Marciniak-Cąkała, Dorota Marcinkowska/Słowne Babki

Skład i łamanie: Tadeusz Szlaużys

Projekt okładki: Tadeusz Szlaużys

Na okładce wykorzystano fragment obrazu Egona Schielego

Kobieta w pomarańczowej sukni

ISBN 978-83-8250-031-8

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

02-672 Warszawa

ul. Domaniewska 49

www.ringieraxelspringer.pl

ringier
axel springer

Druk: Drukarnia im. A. Półtawskiego, Kielce

Bogusław Chrabota

INFLUENZA MAGNA

U PROGÓW WIECZNOŚCI

Powieść

ringier
axel springer

[Kup książkę](#)

Postaci

- Franz Wiegemann (1882–1944) – lekarz, oficer armii Austro-Węgier, uczestnik obrony twierdzy Przemyśl, kochanek Urszuli Wagner.
- Urszula Wagner (1887–1980) – pielęgniarka w szpitalu w Krakowie, kochanka Franza Wiegemanna, wyjechała do Ameryki.
- Franciszek Schweiger (1880–1923) – polski Żyd, oficer armii Austro-Węgier, towarzysz Wiegemanna podczas ucieczki z niewoli rosyjskiej.
- Sigmund Freud (1856–1939) – wiedeńczyk, lekarz, twórca psychoanalizy.
- Georg Trakl (1887–1914) – poeta, urodzony w Salzburgu, zginął śmiercią samobójczą w szpitalu w Krakowie.
- Egon Schiele (1890–1918) – geniusz, malarz, następca Gustava Klimta, jeden z ojców ekspresjonizmu, zmarł na grypę jesienią 1918 r.
- Gustav Klimt (1862–1918) – malarz, jeden z głównych twórców secesji.
- Walburga „Wally” Neuzil (1894–1917) – modelka i kochanka Egona Schielego.
- Edith Harms (1893–1918) – żona i modelka Egona Schielego.
- Grete Trakl (1891–1917) – pianistka, siostra Georga Trakla i żona Arthura Langena, zginęła w Berlinie prawdopodobnie wskutek samobójstwa.
- Ludwig Wittgenstein (1889–1951) – filozof, oficer armii Austro-Węgier, dobroczyńca Georga Trakla.
- Erhard Buschbeck (1889–1960) – pisarz i dramaturg, kochanek Grete Trakl.
- Arthur Langen (1858–1927) – impresario, krytyk i menedżer, mąż Grete Trakl.
- Tadeusz Boy-Żeleński (1874–1941) – polski pisarz, tłumacz, lekarz, oficer armii Austro-Węgier.
- Franciszek Chyłka (1878–1918) – polski chłop, żołnierz armii Austro-Węgier, chorował na grypę.

Prolog

Ubrany po angielsku bardzo młody człowiek wysiadł zamasyście z drożki przed parterowym góralskim budynkiem i wparował dziarsko do środka. Przyjechał właśnie z Rabki i do restauracji Karpowicza przygnał go, nie ma co ukrywać, głód. Średniego wzrostu, z przylizanymi grzecznie włosami, wyraźnym przedziałkiem, wilgotnymi oczyma i pewną subtelnością twarzy, co bez dyskusji rozstrzygało, że jest herbowy, i to z rodziny o pańskich aspiracjach. Ruchy miał miękkie, tweedowa marynarka była dobrze dobrana, na nogach górskie buty, założone na podciągnięte do kolan grube wełniane skarpety. Można było z góry założyć, że to turysta z Mazowsza, który po zjedzeniu kapuśniaku i pieczonego wybierze się na spacer do Morskiego Oka. Dalej nie, bo wymagałoby to innego stroju i solidnej laski wędrowca, którą młodzieniec nie dysponował. Młody człowiek miał jednak inne plany. Góry go niepomierzenie nudziły, w kapuśniaku nie gustował, może więc tylko herbata? Pajda chleba ze smalcem przed czymś solidniejszym. Czym? Nie miał pojęcia. W restauracji manewrował między stolikami, szukając spokojnego miejsca, i to takiego, które dałoby mu dobrą perspektywę na resztę sali. Uwielbiał przyglądać się ludziom i czynić sobie w pamięci ich literacki opis. Ot, tu siedzi nudny księgowy z nosem jak księżyc w kompocie, tu panna pensjonarka w pończochach z oczkiem na łydce, a tu parobas, młody, prężny i jurny jak stado gospodarskich byczków. Siadł w takim właśnie strategicznym miejscu, jednak tylko na chwilę. Po tym, jak podano herbatę, pojął, że musi się przesiąść, i to nie z przymusu. Dostrzegł bowiem siedzącego samotnie czło-

wieka o znanej twarzy, którego literacka legenda bardzo mu imponowała. Niemłody już mężczyzna o dość chłopskich rysach, z wyrazistym (zbyt wyrazistym) rysunkiem brwi, łysiejący, za to z czernionym wąsem, wyraźnie się nudził. „Boy!” – odgadł młodzieniec. Nie znał go osobiście, ale podziwiał. „Boy, wiadomo: pisarz, inteligencja, talent, Europa...” Przyglądał mu się z daleka, pijąc herbatę. „A może podejść?” Boy był sam. W ogóle w sali było prawie pusto. „Jeśli podejdę, co mu powiem?” Podszedł.

– Pan Żeleński?

– Tak.

– Czy pan pozwoli?... Chciałbym kilka słów... Choć nie mam zaszczytu...

Boy wskazał mu krzesło.

– Proszę.

Młody człowiek usiadł, ale można było odnieść wrażenie, że nie wie, co powiedzieć. W końcu się odezwał:

– Widzi pan, ja jestem taki pasażer, co to siedzi na krześle; krzesło stoi na pace; paka leży na workach; worki na wozie; wóz na statku; statek na wodzie. Ale gdzie jest grunt i jaki jest ten grunt, nie wiadomo.

Boy spojrział na niego swoim trochę ospałym czy też osowiałym wzrokiem i powiedział krótko:

– Jak my wszyscy.

– Ale ja bardziej... – upierał się młodzieniec.

– Nie sądzę.

– Daję słowo.

– A tak w ogóle, to z kim mam honor?

– Witold.

– Tylko Witold?

– Nazwisko nic panu nie powie. Przynajmniej na razie.

– Tuszę, że w przyszłości będzie pan bardzo sławny.

– Nie mniej niż pan dzisiaj. Tak myślę.

– No dobrze, ale żeby zamknąć w końcu tę partię ping-ponga, może by pan, prócz, istotnie, ciekawej formy przedstawienia się, zechciał coś do naszej miłej rozmowy wnieść? Chyba że nic pan nie ma do powiedzenia.

- A mogę zamówić kishkę i ogórka?
- Bardzo proszę. – Widać było, że Boy z takimi personami jak młodzieniec o imieniu Witold jest dość obznajomiony.
- Chcę napisać powieść. Taką prostą powieść dla ludu. Właściwie takie mam marzenie. A nawet więcej. Życiowy plan.
- I z tym pan do mnie? Przecież ja nie piszę powieści. Jestem lekarzem.
- Lekarzem to raczej pan był.
- Owszem, byłem.
- Skąd ta decyzja? Jeśli pan oczywiście łaskaw mi odpowiedzieć.
- A dlaczego miałbym panu to tu, teraz, u stóp Tatr i przy ogórku z kishką, wyznawać? – Boy ironicznie odbił lekką jak puch piłeczkę.
- Bo może to jedyna okazja?

Boy się zadumał. Możliwe, że ten jakiś tam Witold ma rację. Właściwie jeśli nie teraz, to kiedy? Młody, pozujący na Anglika człowiek dotknął najdelikatniejszej struny w lirze jego życiowych zmagani, by posłużyć się najbardziej tandetną z tandetnych metafor. Mimo że medycyna była jego najuczciwszym wyborem, już w Paryżu zrozumiał, że ważniejsza jest literatura. Dlatego z taką pasją rzucił się na dzieła Francuzów i podjął się prac translatorskich, które dały mu największą sławę. Potem jednak przyszła wojna, musiał włożyć mundur i udać się na front. Bóg mu darował przykry obowiązek strzelania do bliźnich, co więcej, dał mu szansę ratowania ich życia. Pod przymkniętymi powiekami przewinął mu się w okamgnieniu film z tysiącem frontowych obrazów. Pociągi pełne rannych. Transfuzje krwi i szycie rozprutych płatów skóry. Chyłka, leżący jak łachman w pustym magazynie cukrowni gdzieś w Galicji, a później transport jego „zwłok” do Krakowa. Wittgenstein męczący się w służbie na rzece. Wiegemann i ich wspólna tytaniczna praca przy żołnierzach zdychających od grypy jak bydło. Tak, grypa była najgorsza. „Hiszpanka”, która była dla niego przełomem. Skoro nie można, nie umiemy walczyć z zarazą, to po co medycyna? Może lepiej zostać spowiednikiem albo odprowadzać za dobre pieniądze konduktu na cmentarzu? Szlag, to jednak nie dla niego. Po grypie rzucił to wszystko w cholerę. Zatrudnił się w „Czasie”, zaczął pisać recenzje teatralne, krot-

chwilne felietony. Jakieś powiastki o Balzacu, Molierze. Taki oto skok nad otchłanią życia z wyżyn metafizyki w banał i nieistotność.

Witold pochłaniał właśnie drugiego ogórka kiszzonego, niemiłosiernie przy tym się krzywiąc.

– Co to za dziwne miny? – spytał Boy.

– Jestem specjalistą od min.

„Żałosne”, pomyślał Boy.

– Odpowie mi pan, panie Żeleński?

– To ta choroba. Po niej zrozumiałem, że praca lekarza nie ma sensu. Wyjąłem wtyczkę z prądu, o ile pan wie, co mam na myśli. Taka była moja reakcja. Czasami tak zachowuje się lekarz. Ale można się zachować inaczej. W listopadzie tysiąc dziewięćset czternastego roku w szpitalu w Krakowie, niemal w mojej obecności, otrul się kokainą niejaki Georg Trakl, poeta. Słyszał pan pewnie. Też pracował z rannymi. Zwariował po tym, jak zrozumiał, że nie może im pomóc. To był dla niego koniec. Zbieraliśmy z Wiegemannem papiery, które rozrzucał wokół łóżka. To były świetne wiersze. Przed samobójczą śmiercią często się pisze dobre wiersze. Potem w tajemniczy sposób zginęła w Berlinie jego siostra, pianistka. Widzi pan, nieszczęścia chodzą parami.

– A pan postanowił zostać literatem.

– Tak, odrzuciłem walkę o ludzkie życie na rzecz walki o lepszy humor jeszcze żyjących. Czy jestem dostatecznie podniosły?

– Pan wie, że to żalosne. Taka ucieczka od odpowiedzialności.

– A co pan może o tym wiedzieć? Był pan na wojnie?

– Nie, ale Niemcy stacjonowali w dworku mojego ojca.

– To w istocie się pan nawalczył... – Boy nie potrafił powstrzymać się od ironii.

– Nie kusi pana, by napisać o tym?

– Wie pan, skala tematu mnie paraliżuje. Poza tym uważam, że tradycyjna powieść w stylu Balzaca, Dumasa czy Hugo się skończyła. Po wojnie nie ma dla niej miejsca. Rzeczywistość pokomplikowała się w zbyt wielu wymiarach. Dziś pozostają strzępki, małe formy, esej filozoficzny, może dramat? Można coś ewentualnie pokazać na scenie, co czyni, a właściwie wygłupia się

Witkacy z tymi swoimi Mózgowiczami czy Wahazarami. Ale to żarty oczywiście. Ilustracja tego, jak psychostymulanty wpływają na wyobraźnię i język człowieka. Czy to przetrwa? Nie wiem. Szczerze wątpię. A powieść? Wie pan, ile lat musiało minąć, by Tolstoj opisał w *Wojnie i pokoju* czasy napoleońskie?

– Czterdzieści?

– No widzi pan? A pan chce już dziś. Kilka lat ledwie przeszło. Niech się pan uzbroi w cierpliwość, młody człowieku. Pogadamy za czterdzieści lat, jeśli dożyjemy.

Gombrowicz połknął resztę ogórka bez gryzienia. Rozmowa była skończona.

Spotkali się jeszcze raz. Było to już w przededniu wojny, bodaj na imieninach Boya. Witold przypomniał mu tę rozmowę. Boy uśmiechnął się i powiedział:

– Pływamy na tym polskim statku, pływamy, ale stałego gruntu nie pozujemy, aż zatoniemy! Taki to nasz los i to się nigdy nie zmienia.

Strona Wiegemanna

*Wstrząsająca jest zagłada płodzenia.
W takiej godzinie oczy patrzącego napętniają się
Złotem jego gwiazd.*

Georg Trakl *Helian*, tłum. W. Trzeciakowski

1.

Doktor Franz Wiegemann, niegdyś wiedeński bawidamek, sybaryta, koneser win i kobiet, w poplamionym wymiocinami, grubym fartuchu zwisał z krzesła jak pomięty oficerski płaszcz. Miał poszarzałą twarz, obwisłe wąsy i granatowe cienie pod oczami. Nie spał już od kilku dni. Za każdym razem, gdy szedł do służbówki trochę się zdrzemnąć, przybiegał ktoś z oddziału i od drzwi wołał o pomoc. Ten się krztusi, trzeba intubować, tamten nie ma tętna, ktoś inny krwawi. Zrywał się więc, nie musiał nawet naciągać oficerek, bo kładł się w nich na rzuconą na łóżko derkę. Był półprzytomny, ale wstawał, chwycając się na nogach, gonił na oddział i ratował, kogo mógł. Tamował krwotok, osłuchiwał piersi, reanimował, a niekiedy tylko stwierdzał zgon. Bogiem a prawdą, zdarzało mu się to coraz częściej. Ale teraz, w momencie, kiedy przychodził zmierzch, wisiał na twardym krześle kompletnie bez siły. Pochylona, pokryta rzadkimi włosami głowa, nieco obsunięta na nosie binokle, wiszące bezwładnie ręce, poszarzałe dłonie. Przysypiał. Za oknem, od strony ulicy, wiatr kręcił jakieś niespokojne wiry, unosząc nerwowo liście kasztanowców. Był ledwie początek drugiej połowy października, więc na ulicach było jeszcze jasno. Tuż za drzewami z lekkiej jak muślin mgły wyłaniały się ściany budynków. Niedaleko, tuż naprzeciw okna, solidne kamienice Kleparza, a za nimi, gdyby wzbić się jakimś cudem wyżej, malowane purpurą zachodu dachy Krakowa. Najpierw wieżyce Kościoła Mariackiego, wieża ratusza, a dalej, na kamiennej skale, koszary, w których mieszkał. Wcześniej był tam zamek, zrujnowany od wieków i wypruty z królewskiego splendoru. Kogo to zresztą dziś interesuje. Marzył o dorożce, która zawiozłaby go do koszar. Niestety, kolejny już dzień musiał zostać w szpitalu, a tu tylko dzielona z kolegami służbówka. Podniósł głowę. Czy to deszcz? Nie, ktoś zapala gazo-we latarnie. Szuranie nóg. Czemu pomyślał o deszczu? Czuł nieznośny ból

głowy. Nagle ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Nie odpowiedział. Drzwi się otworzyły. Usłyszał cichy szelest fartucha i stukot chodaków. A potem poczuł dłonie dotykające jego włosów. Ślizgały się czule po jego głowie, po chwili poczuł na szyi dotyk ciepłych ust.

– Urszula, to ty?

– Ja, całkiem prawdziwa, ja, kochany.

– Nie poszłaś do domu?

– Jeszcze nie. Chcę być z tobą.

Odwrócił się do niej, a ona usiadła mu na kolanach. Poczuł silny zapach jej kobiecości, mocny oddech życia. Tak bardzo się różnił od wszystkiego wokół. Wtulił się w te jej miękkie piersi jak dziecko. Usłyszał, jak bije jej serce.

– Wciąż jesteśmy żywi.

– Pragnę cię – wydusiła z siebie.

– Ja też cię pragnę, kochana.

– Wyjędźmy stąd.

– Nie teraz. Po tym piekle.

– Wyjędźmy do Wiednia.

– Namawiasz mnie do dezercji?

– To gówno, ta cała monarchia niedługo się skończy. Wszyscy to widzą.

– A co z chorymi? Co z twoim mężem?

Włożył jej rękę pod suknię. Poczuł ciepło rozpalonych ud. Dotykał skóry tam, gdzie kończyły się grube bawełniane pończochy. Czuł, że Urszula go pragnie, ale sam nie odczuwał niczego. Doskonała obojętność na wszystko poza sygnałami od pielęgniarzy. Tylko to podnosiło go na nogi, budziło do życia.

– Wyjędziemy do Wiednia albo jeszcze dalej. Ale sami musimy przeżyć.

Ktoś uderzył kilka razy jakimś przedmiotem w drzwi. Zastygli w ciszy. Po chwili znowu.

– Kapitanie Wiegemann, proszę szybko na oddział. Słyszysz pan?

– Tak. – Odchrząknął. – Idę.

Urszula zeskoczyła jak niepyszna z jego kolan. Poprawiła fryzurę, a on podniósł się z krzesła i wolnym krokiem podszedł do drzwi. Rozprostował kości i szybkim ruchem otworzył.

– Meldujcie.

– Melduję... Kona jeden z żołnierzy.

– Biegnę – rzucił szybko Wiegemann i sprężystym krokiem ruszył na oddział.

Po chwili był na miejscu. Odór niemal go wyrzucił. Naciągnął na twarz bawełnianą maskę.

– Czemu, do cholery, nikt tu nie wietrzy?

Cisza.

Spojrzał na łóżko, na którym dogorywał jakiś młody człowiek. Podeszedł do niego i dotknął ręką jego czoła. Czterdzieści stopni, może więcej. „Po nim” – pomyślał.

– Dajcie mu okład z zimnej wody na kark.

Co za bzdury!!! Złapał się na tym sekundę później. Jaki okład dla człowieka w stanie agonalnym? To przecież nie ma sensu. „A co ma sens?” – spytał w myślach sam siebie. Kilka tygodni temu żołnierzy z takimi objawami znoszono do pralni i zanurzano w wannach z lodowatą wodą. Lód dostarczano do szpitala dwa razy dziennie. Ale potem albo lód się skończył, albo komendant uznał, że taka procedura nie ma sensu. Ludzie i tak umierali, a on tylko płacił za lód. Niepotrzebna rozrzutność w trudnych czasach. Teraz więc przykładano umierającym chłodne kompresy. „Nic to nie pomoże, choć może nieco ulży” – tłumaczył sam sobie. Chłopak podrygiwał na łóżku, oczy miał zamknięte, ale gałki wirowały mu pod powiekami. Klatka piersiowa aż trzęsła się z wysiłku. A później nagle przestała. Żołnierz się uspokoił, jakby niespodziewanie zasnął.

– Weźcie go do prosektorium – rzucił pielęgniarzowi, który tylko pokiwał głową.

– Tak jest.

Spojrzał zmęczonym wzrokiem na oddział. Świński smród, tłok i beznadzieja. Łóżko na łóżku, ciasno, że niemal przejść się nie da. Dziesiątki chłopców, którzy mogliby jeszcze żyć! „Ba, walczyć za cesarza” – pomyślał złośliwie. Niech to krew zaleje! Jakiego cesarza? Gdzie on teraz jest? Karolus, przypadkowa kreatura. Nie, te dzieci powinny wrócić do domu. Ale nie

zdążą. Jedyne, co dane im będzie zobaczyć, to słodki uśmiech siostry Urszuli, matki miłosierdzia.

2.

Kopnął butelkę po koniaku. Węgierski czy z Dalmacji? Nie wiedział. Najbardziej lubił francuskie, ale tych od dawna nie dało się kupić. Zostały po tamtej stronie frontu, za linią okopów Verdun, na zachodnim brzegu Marny. Czy kiedyś napije się jeszcze prawdziwego koniaku? Koniaku z nalepką „Cognac”. A właściwie jakie to ma znaczenie? Koniak jest koniak. Przykłada się butelkę do ust i pociąga łyk, potem drugi, trzeci, a jak się nie zakrzтусisz, to czwarty. A później już tylko szum w głowie i mocne kołysanie. Alkohol. Gdyby go nie było, wojny nie dałoby się przeżyć. Kiedyś, w Wiedniu, zanim to wszystko się zaczęło, kiedy przyjechał do habsburskiej stolicy na studia, pijał jedynie wino. Ojciec miał winnicę, więc wino, białe wino bez nazwy, było w domu codziennością. To był Riesling. Takie właśnie schłodzone wino matka podawała do obiadu i kolacji. Za domem była winnica. W podziemiach pękate beczki. Ojciec, policjant, osobiście zajmował się trunkiem. Nikogo do piwnicy nie wpuszczał. Skradali się więc z bratem po cichu, na palcach, kiedy ojciec spał. Cichaczem zabierali klucz z szuflady i hyc... do piwnicy. W Wiedniu nauczył się pić szampana, a potem cięższe alkohole, by w końcu, w pijackim uniesieniu zaśłuchany w dekadenskie dźwięki fortepianu, przy wtórce wizjonerskich bredni tego biedaka Trakla, wypijać jeden po drugim kieliszki absyntu. Tak, ale to było dużo później, na minutę przed wojną. Był już lekarzem, a Trakl, ledwie technik farmacji, stacjonował ze swoją jednostką nieopodal Wiednia. Zmarłby z nudów w aptece, ale poszedł do wojska. Na swoje nieszczęście.

Próbował podnieść się z krzesła, ale w tym akurat krótkim momencie, a zarazem w obliczu przewalających się gdzieś w górze kosmicznych katastrof nie było to możliwe. Ile już siedział w tym szpitalu? Dwa, trzy dni? Stracił rachubę czasu. Była tu Urszula, to pewne. A potem poszedł na oddział. Siedział przy jednym, drugim, a później przyglądał się tępo sanitariuszom ścierającym krew ze schodów.

- Co tu się stało?
- Człowiek osunął się z noszy, panie kapitanie.
- Aha.
- Leży na tamtej sali. – Wskazał pielęgniarz.
- Gównu mnie to obchodzi.

Schodził po schodach, chwiejąc się na nogach. Potrafił pułkownika von Drossnera, po czym oparł się o ścianę. Stary, pocziwy doktor Ferdinand poklepał go tylko po ramieniu i kazał iść spać. Wstąpił do kibla, oddał mocz, a potem stanął przed lustrem. Spojrzał na siebie i nie potrafił się rozpoznać. Stary siwy człowiek. Podkrążone oczy. Głębokie zmarszczki. Siwizna. Zakola. Wrócił do pokoju i wypił łapczywie szklankę koniaku. Poczul mrowienie w rękach. W końcu wstał, kopnął pustą butelkę i potoczył się do drzwi. Zszedł po schodach. Wychodząc na ulicę, omal się nie potknął. Na bramie zasalutowali mu strażnicy.

Dorożek nie było, nie chciało mu się czekać, więc ruszył chwiejnym krokiem po śliskiej kostce brukowej. Najpierw po prawej Kleparz, po którym kręciły się jakieś babiny. Handlarzy o tej porze brak. Po lewej wielka bryła zakładu opiekuńczego Helców, a dalej otwarte gardło Długiej. Mokro po deszczu. W mieszkaniach niewiele światła. Ludzie oszczędzają na elektryczności. Nie wiadomo, jakie ceny będą jutro i czy te ostatnie korony nie przydadzą się na inne cele. Chleb czy słoninę. Ta ciągnąca się w nieskończoność wojna nie ma żadnego sensu. Właściwie nie wiadomo, o co w niej chodzi. Od początku nie było wiadomo. Owszem, śmierć arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie, ale kto wtedy sądził, że małeńka wojenka z Serbią porwie za sobą cały świat? A wojna z Rosją? O co? Te tysiące Rosjan, które najpierw atakowały, a później broniły twierdzy Przemyśl. Otrząsnął się z obrzydzenia, bo przypomniały mu się te pryzmy ludzkiego mięsa w Przemyślu, a wcześniej w czasie bitwy lwowskiej. Pamiętał pierwszego trupa, jakiś Czech chyba, z połową twarzy. Kiedy przynieśli go z okopów, to jeszcze oddychał. Pielęgniarze nieśli go na lepkich od krwi noszach, po czym rzucili na stół. Wyglądał, jakby go wykopano z ziemi. Pokryte błotem buty, nogawki, cały mundur od stóp do głów, nawet pagony były tak zabłocone, że nie można było rozpoznać, czy

to zwykły żołnierz, czy oficer. Tylko ta straszna głowa. Skóra zdarta z twarzy od brody po czoło. Krew jeszcze nie zakrzepła. Wzdrygnął się, kiedy zobaczył kawałki chrząstki i odsłoniętą kulę prawego oka. Bilard? To nie bilard, do cholery, tylko żywy jeszcze człowiek. Kazał rozciąć nożycami bluzę munduru. A potem przyłożył słuchawkę stetoskopu do klatki piersiowej. Biję? Czy nie biję? Biję, ale słabo, coraz słabiej. Zaciśnął lewą pięść. Niech jeszcze biję, ale słyszał tylko słabnące uderzenia. „No walcz, człowieku!” – krzyknął. Serce cichło jak echo kół odjeżdżającego pociągu. Pyk, pyk, pyk... I tyle. Przestało. Podniósł się i kazał go zakryć. Zastygł. Koledzy mówili, że po pierwszym takim przypadku zwykle chce się rzygać. Żywe ludzkie mięso wygląda inaczej, inaczej pachnie niż to martwe, z którym stykali się jako studenci w prosektoriach. Ale on nie czuł żadnych mdłości. Czysta, trzeźwa głowa. Sprawne jak mechanizm w szwajcarskim zegarku palce. Napięte mięśnie. To dobrze, całkiem dobrze, bo pielęgniarze nieśli już następnego. Przy tym z kolei musiał wybuchnąć pocisk, bo miał urwaną w kolanie nogę. Ktoś przewiązał kikut brudnym paskiem, ale i tak ze zwisającej tętnicy niemrawo tryskała krew. Front nauczył go spokoju. I oddalił od Boga. Ale czy naprawę kiedyś był blisko? Wiedeńscy lekarze byli zwykle ateistami. Szkoła starego Nothnagela. Dokąd teraz? U wyjścia z Długiej jakiś park. Tak, to tu były kiedyś mury. Skręcił w lewo, w stronę Floriańskiej. Tam można się czegoś napić. Minął bramę. W knajpie po lewej serwowali jeszcze coś do picia. Wszedł do środka. Usiadł przy stoliku tuż obok zdeptanej brudnymi buciorami sceny. Ktoś do niego podszedł. Wysoki, sprężysty mężczyzna.

– To ty, Franz?

– Chyba jeszcze ja. A, to ty, Boy? Mój ulubiony lekarz wagonowy.

– Kolejowy, kochany, kolejowy...

– Z takich, co to pyłu frontowego nie zaznali, bo ciągle w drodze.

– Z frontu na tyły i z tyłów na front, panie kolego.

– Rak, nieborak. Do przodu i do tyłu. Od kiedy w Krakowie?

– Chyba już na stałe. Tak myślę, ileż można.

– Kończy się to już? Jak myślisz?

Boy rozejrzał się czujnie, zbliżył głowę.

– Mówią, że to już koniec. Prusak z ruskimi nie walczy, bo tam Lenin. Czerwoni Żydzi dogadali się z Berlinem... A wódeczki zamówić, panie kolego?

Kiwnął głową potakująco.

– A na zachodzie... – kontynuował Boy po złożeniu zamówienia – Niemcy nie mają już sił. W Rosji wojna domowa, w Niemczech rozruchy, Francuzi mają wsparcie Ameryki... A może Verdun będzie jeszcze jakieś drugie? Ale tego wąsaty Wilhelm już nie wytrzyma. Nie wytrzyma... Nie ma szans – przekonywał.

Wypili po kieliszku, a potem po drugim.

– Chodź, Boy, pogadamy o pannach.

– O czym?

– O pannach lekkich obyczajów mówię. Kobietach cudzołożnych – wystękał z pijacką dobitnością.

– Wiesz, że tu do wojny był kabaret?

– W tej knajpie?

– Tak.

– I tu śmiesznie było?

– Tak, ale był jeden zakaz. Nie żartowało się z polityki.

– Dlaczego?

– Bo CK-władzom się tak podobało.

– A oni, artyści, aż tak bardzo słuchali władzy?

– Myśmy słuchali, Franz. Myśmy.

Podnieśli się. Boy zapłacił. Wyszli i poszli do koszar. Na zamek.

3.

Nie był w stanie objąć umysłem wszystkiego, co się ostatnio wydarzyło. Tej nagłej, niespodziewanej choroby, która wbiła ich wszystkich w osłupienie. Ale czy naprawdę w zdziwienie? Nie, on się już niczemu nie dziwił. Skończył się czwarty rok wojny, która wyrzuciła świat do góry nogami. Wojny, która była w jego głowie wielką rozoraną, biologiczną do szpiku kości wyrwą. Krwawą raną, wobec której nawet najlepszy chirurg stawał

bezradny. Kiedy, wezwany dekretem mobilizacyjnym ruszał na wojnę, mówili mu, że późną jesienią będzie w domu, a pociągi z wojskiem żegnano w Wiedniu kwiatami. Patrzył w twarze tych wszystkich młodych ludzi w mundurach z podziwem, jakby byli nadludźmi, nieledwie bohaterami. Podziwiał wolę mocy tych wielkich, którzy wiedli młodzież na front. Tak, wtedy był entuzjazm. *Belle époque* wydawała się nieskończenie nudna. Wszyscy mieli poczucie, że świat zastygł w jakimś bezruchu, beznadziei, że nie umie dostosować się do prawideł rozpędzonego jak nigdy kosmosu. Tak, tam, w przestrzeniach galaktyk, rozgrywała się jakaś ponadczasowa dynamika. Rodziły się i umierały gwiazdy. Szalona energia planet napędzała wszystko poza tkwiącą w bezruchu Ziemią. Tylko wojna mogła ją ożywić. Rozpętano więc wojnę. Wojnę, która zdemolowała ten bezruch, najpierw była mistycznym objawieniem, sprężyną dźwigającą ludzkość z upadku, a potem, w miarę upływu czasu, w ślad za milionami ofiar, pojawiły się pytania. Mamy więc wojnę, i gdyby odrzucić to czysto mistyczne przekonanie, że wojna jest ruchem, niczym więcej, to właściwie o co w całej tej awanturze chodzi? O co ta wojna? Nigdy nie potrafił sobie na to pytanie odpowiedzieć. O co szło w tej wojnie? O nowe tereny, otwarte przestrzenie? Przecież Habsburgowie mieli imperium, ziemi, ludzi, miast, fabryk, ile chcieli. Czyżby rzeczywiście chcieli więcej? Czy naprawdę ktoś tam na górze myślał, że można poszerzyć imperium po Ural? Szalone sztaby, kretyni z orderami, niech ich krew zaleje. A później przyszły te kolejne, niekończące się, brutalne lata wojny. Dawni bohaterowie stali się kawałkami ożywionego mięsa, które trzeba było czyścić, przemywać środkami dezynfekującymi, ciąć, zszywać, łątać, cerować. Taka była z kolei jego rola. Rola lekarza. Nikt go nie wysyłał do okopów. Kazano mu leczyć ludzi. Leczyc mógł jednak tylko ciała, nie dusze, a to dusze stawały się powoli bardziej potrzebujące. Często słuchał modlitw. Wzywali Boga, żeby przyszedł i pomógł. Uratował od śmierci, bólu, przyniósł ukojenie bądź wieczne zbawienie. Ale nie przychodził. Nikt Go nie widział w okopach. Wysyłał czasem klechę, ale cóż ten mógł zrobić? Jedynym bogiem musiał więc być on, doktor Franz Wiegmann. Zamiast bezużytecznych sakramentów dawać zastrzyk z morfiny.

A teraz ta choroba. Czy przyszła przypadkiem, czy była tak nieoczekiwana? Nie, odwrotnie, była tylko kolejnym stadium upadku. Musiała przyjść, jak przychodziła zawsze w czasie wojny. I nieważne, czy nazywano ją dżumą, cholerą, czy tyfusem. Zaraza zawsze przychodziła śladami wojny. Była z nią nierozłączna. Jak w pacierzu: od powietrza, głodu, ognia i wojny... zachowaj nas, Panie...

Siedzieli z Boyem na piętrze tego spustoszonego zamku, który był teraz koszarami. Gdzieś obok, w katakumbach, rozpadały się w pył kości dawnych królów tej ziemi. Rozpaczliwe szczątki w przegniłych sarkofagach. To ma być nekropolia? Albo truchło tego biskupa w srebrnej skrzyni. Niby patron, ale nie uchronił tych ludzi od upadku, biedy, zezwierzęcenia. A może nie chciał. Wziął do ręki słoik z farmakologicznym spirytusem. Nalał do szklanek. Przepiją zaraz gęstą jak smoła herbatą. Taka medyczna mikstura. Alkohol i herbata. W szpitalach wojskowych zwykła sprawa.

– Spodziewałeś się, że tylu zabierze? – spytał Boya.

– To dziwny rodzaj grypy. Zabija ludzi młodych. Dzieci, starcy są zwykle odporni.

– Ale to kompletnie nielogiczne. Mam na oddziale pewnego majora z jedną nerką i zaawansowaną gruźlicą. Ma z sześćdziesiąt lat. Zaraził się, myślałem, że to kwestia dni, a dochodzi do siebie. Inny przykład. Siostra dominikanka, staruszka, rupieć. Ale Pan Bóg jej nie chce. Też zdrowieje. A gówniarze dwudziestokilkuletni, pobór z tysiąc dziewięćset czternastego, piętnastego, zaprawieni w bojach, dobrze odżywieni, padają jak muchy. Czasem mam wrażenie, że to jakieś przekleństwo, że Bóg się mści za tę wojnę.

– Gdyby jeszcze chciał się przyznać.

– Tak, wszystko byłoby łatwiejsze. Stary Żyd z Wiednia mówi, że wojna jest stanem pierwotnym. Horda zbuntowała się przeciw swoim patriarchom i dokonała zbiorowego mordu. Zginie wielu, ale przede wszystkim przywódca klanu.

– To już jakby się stało. Franz Josef pożegnał się z tym łez padołem.

– Ale i jego przeciwnik. Mikołaj. Zarznęli go najpewniej z całą rodziną gdzieś na Uralu. Tak mówią.

- Ocalała ponoć córka.
- Tego nie wiadomo. Wilhelm powinien jeszcze dołączyć do tej dwójki i wtedy będzie można powiedzieć, że Freud ma pełną rękę.
- Tak. A wodzowie hordy ustalą nowe warunki. I podzielią świat na nowo.
- Freud tego nie wymyślił. Zapominasz o Hobbesie.
- Tak, ale dla Hobbesa to był fundament jakiejś wczesnej antropologii. A Freud wyciąga to z głębi natury ludzkiej. Z psyche. Z samych głębi natury człowieka. Szukamy Boga, bo zabiliśmy ojca. Szukamy zamordowanego autorytetu i dlatego tworzymy Boga. I ten Bóg, personifikacja sił przyrody, pozwala nam wierzyć, że ktoś nad naturą panuje, odpowiada za jakąś elementarną logikę, za to, co jest i będzie. Możemy się przed Nim ukorzyć w naiwnym przekonaniu, że nas wysłucha, uratuje. Karmimy Go naszymi lękami i poczuciem winy. A On strzeże i wybacza.
- No i gdzie jest teraz twój Bóg?
- No właśnie. Gdzie? Kościół, gdy nie da się wytłumaczyć masakr, jakich dokonuje natura, mówi, że to kara za grzechy. Odpokutowujemy za winy, cudze i nasze.
- Łatwe wyjaśnienie.
- Czyli influenza to kara?
- Na to by wyglądało.
- Ale problem w tym, że umierają niewinni. Nie tylko ci gówniarze w szpitalu. Mordowani przez czern Żydzi, bezbronne kobiety, mieszkańcy bombardowanych miast... Nie angażowałbym do tego Boga. Ta choroba ma związek z jakąś konkretną fizyczną przyczyną. Po prostu jej nie rozumiemy.
- A ci chłopcy?
- Na pewno nie pomagają im to, że są prosto z frontu. Zziębnięci, niedożywieni. Wymęczeni. Patrz, w jakim stanie przyjeżdżają. Śmierdzą, gniją, pleśnią w tych mundurach.
- Mówiłeś, że są zdrowi i silni.
- Tak, mają silną immunologię, ale przecież są wymizerowani. Nic z tego nie rozumiem.
- Nie pomagają im też to, że nie ma lekarstw. Skutecznych lekarstw.

- Aspiryna?
- Nie działa.
- Magnezja?
- Nie.
- Kalomel?
- Nie działa.

Wiegemann znów sięgnął po gruby, wykonany z ciemnego szkła słój ze spirytusem. Nalał na dno szklanek. Wypili.

4.

Urszula wyszła ze szpitala ledwie chwilę po Wiegemannie. Miała nadzieję, że go jeszcze dogoni. Przebierała trzewikami po Długiej tak intensywnie, że krzesła iskry, przynajmniej tak jej się wydawało. Gdyby go dogoniła, mogłaby wziąć pod ramię i zaprowadzić na kwaterę, na zamek. Położyć do łóżka, rozebrać do bielizny, ucałować do snu. Nie wiedziała, skąd te uczucia, nie rozumiała ich, ale były jednoznaczne, myślała o nim jak o dziecku. Dziecku, którego nigdy dotąd nie miała i którego świadomie nawet nie chciała mieć. Dawno temu, jeszcze w Wiedniu, zaszła w ciążę. Była niedoroślą pensjonarką z prowincji. W szkole pielęgniarstwa poznała profesora, szczupły, elegancki, oliwkowa cera, ciemny wąsik, miodowe oczy. Widząc go, zawsze pąsowała. Zauważył, sukksyn, i czekał na swój moment. Doczekał się pewnego popołudnia podczas zajęć wojskowych. Wysłał ją do magazynu po opatrunki. Miała je przynieść na plac ćwiczeń, gdzie czekała jej kompania. Zaraz po tym, jak weszła do magazynu, zgasło światło. Przestraszyła się ciemności, ale wtedy stanął obok niej, wyszeptał do ucha kilka czułych słówek. A potem włożył jej język do ust i dotknął krocza. Chwilę się broniła, ale tylko chwilę. Rzucił ją na stos jakichś szmat, pewnie były to płaszcze przeciwdeszczowe, zerwał z niej majtki i wszedł w nią z takim impetem, takim wigorem, że nie miała nawet czasu się zorientować, o co chodzi. To prawda, nie był jej pierwszym mężczyzną, ale też nigdy wcześniej nie doświadczyła takiego przypływu gwałtowności, takiej furii, takich emocji, takiego szaleństwa. Zastygł na niej, kiedy skoń-

czył i – czego się zupełnie nie spodziewała – zasnął. Próbowwała go zbudzić, ale zanim doszedł do siebie, minął przynajmniej kwadrans. Wróciła na plac. On kilka minut później. Trzeba było widzieć twarze tych dziewcząt. Nie potrafiły opanować śmiechu. O tym, że jest w ciąży, dowiedziała się kilka miesięcy później. Dziecko było już duże, widziała jego urwaną główkę, ramionka, nóżkę, jedną, drugą, kiedy wychodziła z gabinetu. Frau Weissmuller, matka nauczyciela, dała jej dwieście koron i kazała milczeć. Tak się skończył jej romans z mężczyzną o oliwkowej cerze. Wyszła z gabinetu i pomyślała, że jej córeczka dołączyła do aniołków. Spojrzała w niebo i zemdląła. Szkołę skończyła z wyróżnieniem, a potem pojawił się on, sierżant cesarsko-królewskiej armii, pijak i awanturnik, Fryderyk Wagner. Szarmancki, wygadany, szalony. Był dla niej świątecznym prezentem i wieczną udręką. Kochała go i nienawidziła. On ją bił i uwielbiał. Kiedy szła z posiniaczoną twarzą do szpitala, nie wiedziała, czy na niego donieść, czy wrócić i rzucić się mu w ramiona. A później zaczęła się wojna. Miała już trzydzieści lat. Była starszą oddziałową. Wysłano ją do Krakowa. Niewielkie miasto w Galicji z pretensjami, jak mówił Fryderyk. Jakiś zamek, trochę hoteli, duży fort, niemały garnizon, i szpital, który miał na celu nie tyle ratowanie chorych żołnierzy, ile zbieranie tych najciężej rannych z frontu. Zamieszkała w Krakowie. W maleńkim szpitalnym mieszkanku, niedaleko od Kleparza, z koleżanką, prostą dziewczyną gdzieś z serca Czech. Pierwsze miesiące były straszne, ale potem poznała kapitana Wiegemanna, młodszego od siebie o dwa lata lekarza z Wiednia, i zatraciła się w nim. Oszałała na jego punkcie. Po raz pierwszy w życiu w towarzystwie mężczyzny poczuła prawdziwą zwierzęcą chuć. Nie rozumiała, skąd się to wzięło, nie chciała rozumieć. Czuła jedynie przemożną potrzebę bycia z nim, codziennego obcowania. Pożerała go wzrokiem. Dostawała wypieków, patrząc na niego w czasie pracy. Czysta biologia, do cholery! Nie musiała rozmawiać, tłumaczyć się z tego, co czuje, błagać o chwilę uwagi. Kiedy została z nim po raz pierwszy, sama rzuciła mu się do kolan. Zerwała z niego spodnie i omal nie udławiła się jego męskością. Odtąd byli razem, kiedy tylko mogli. Pożerała go, a on oddawał się jej z czułością i zaufaniem. Była jego żoną, matką i partnerką. A teraz biegła za nim przez miasto w tych chybliwych trzewikach

i modliła się w duchu, by go spotkać. Kiedy dotarła do zamku, światło w jego pokoju było zgaszone. Czyżby spał? Weszła po schodach na piętro. Sięgnęła po klucz, ale nie znalazła. Pewnie zostawiła go w domu. Uderzyła więc pięścią w drzwi, ale odpowiedziała jej głucha cisza. Spokój, jakby wszyscy byli martwi. Siadła na wycieraczce, wytarła rękawem łzy. Co robić? Położyła się na podłodze. Zasnęła. Ile spała? Nie miała pojęcia. Wyszła z budynku przy pełni księżyca. Noc nie była mroczna. Przez bramę wyszła na ścieżkę, która prowadziła z wałów nad rzekę. Siadła na ławce. Bulwar był o tej porze pusty. Tylko mgła nad przelewającym się spokojnie w dole nurtem. Kłębiące się tumany mgły. Trudno było dostrzec drugi brzeg. Nieodległe kamienice po przeciwnej stronie Wisły wyglądały jak upiory. Zamknęła oczy wyłącznie po to, by zobaczyć tych dogorywających żołnierzy na oddziale. Szloch, złorzeczenia, krzyki, jęki – to było jej życie. Wybuchła płaczem. Maskę, którą musi nosić codziennie. Opuchnięta twarz. Kudłące się w nieskończoność włosy. I ta wojna, która zabiera wszystko i wszystko daje, zła, nieszczęsna wojna. Nagle poczuła dotyk dłoni na ramieniu. Obejrzała się, ale nikogo nie było. Za to mgła nad rzeką zgęstniała. Skłębila się, jakby materializując ludzkie myśli, sny i marzenia. Spojrzała w mgłę i krzyknęła w rozpacz. W gęstym тумanie zobaczyła twarz swojej wyabortowanej córeczki. Dziecko popiskiwało przeraźliwie jak kot. Jak dziki kot w rui. Podniosła się z ławki i uciekła w stężyłą czerni nocy.

5.

W odległych czasach, kiedy Wiedeń nie był jeszcze kwaterą wojujących Habsburgów, tylko stolicą dekadentckiej bohemy, doktor Franz Wiegemann był znanym bon vivantem. Dobrze wykształcony, wyjątkowo zadbany, w zawsze wykrochmalonej koszuli robił wrażenie na wszystkich w kawiarniach i kabaretach. Prywatnie daleki kuzyn Egona Schielego, urodzony w tym samym nudnym Tulln, miasteczku pokracznych Nibelungów i omszałych księgowych, wyrwał się do Wiednia, bo dokąd miał uciekać? Do Salzburga? Cóż za pomysł? Salzburg był niczym więcej, jak tylko biskupią dziurą. Uosobieniem kabotyńskiej, habsburskiej Austrii. W Salzburgu czas się zatrzymał za

Mozarta. Miastem wciąż rządzili magistrzy teologii w sukienkach. Duchowni idioci. Gulgoczący jak indory wielbiciele jedwabnych peruk. Czegóż od nich miałby się nauczyć? Katechizmu? Po co to komu w czasach Edisona i Tesli, Marconiego i Einsteina? Prasa donosiła o coraz to nowszych wynalazkach. Miasta rozświetlało elektryczne światło. Elektrownie przecinały nurt regulowanych właśnie rzek. Na drogach automobile zaczęły zastępować zaprzęgi. Krupp budował armaty, które wystrzeliwały pociski z taką mocą, iż mogły sięgać Księżyca, a dalmatyńskie stocznie Škody wodowały wielkie jak miasta pancerniki. Może i matka chciała, by został księdzem, ale on nie miał na to żadnej, ale to żadnej ochoty. Postanowił zostać lekarzem. Chirurg? Bardzo przyszłościowe. Na studia wybrał się do Wiednia. Stolica Habsburgów rzuciła go na kolana. Wielkie miasto, epicentrum świata, serce imperium, ale przede wszystkim nowe elity. Ludzie z wiatrem w głowach. Poeci, malarze, prozaicy. Dziennikarze, kurtyzany, tancerki i aktorki. Teatry i kabarety, kawiarnie i uniwersytet. Tak, najważniejszy był uniwersytet. Pilnie chodził na zajęcia. Słuchał wykładów najślynniejszych profesorów. Poryły go neurologia, psychiatria, psychoanaliza. Zajrzeć do wnętrza człowieka bez pomocy skalpela. Otworzyć mu głowę technikami hipnotycznymi. Wydobyć pierwotne instynkty, ukryte pragnienia. Być lekarzem duszy, jak Breuer czy Freud, ratować przed śmiercią samobójczą wariatów, depresyjnych malarzy, sodomicznych poetów. Kogoś ważnego poznał w czasie studiów? Nie, króla tego barwnego, rozpoetyzowanego świata, Gustava Klimta, przedstawił mu dopiero Schiele, niedługo przed wojną. Klimt był cesarzem bohemy. Jego malarstwo rzucało na kolana. Marzył o tworzeniu dzieł totalnych, wolnych od więzów doktryn i konwencji, klasycznych obietnic i akademizmu. Opowiadał o warczącej jak motor samochodu współczesności, która rozjeżdżała na miazgę całą dotychczasową formę. Giacometti przyniósł do Europy sztukę afrykańskich Negrów, Gauguin przemycił kolory Tahiti, Van Gogh prowincjonalne kolory Prowansji. Ale dla Klimta wszystko to było mało. Szukał złota i srebra, brylantów i platyny. Chciał oddać w malarstwie bogactwo epoki *bourgeois*, splendor, materialny sens sukcesu, stworzyć dzieła na miarę nie tylko uwolnionej wyobraźni, lecz także nieużywanych dotąd środków wyrazu. I wtedy trafił na siostry Bloch. Obie wyszły za

mąż za braci Bauer. Starsza Teresa za Gustava, młodsza Adele za Ferdynanda. I to właśnie młodsza stała się jego muzą. Wędrował kilka razy w tygodniu do jej salonu przy Elisabethstrasse 18, doskonale pośrodku filarów wiedeńskiej bohemy, między operą a Akademią Sztuk Pięknych. Stała się jego *femme fatale*. Eteryjna brunetka w czarnej sukni, snująca się po korytarzach jak senne marzenie, z papierosem w ręku. Uduchowiona, z podniesionym podbródkiem, długimi, zaczesanymi w kok włosami. Smukła i krucha, o szczupłej, rzadko uśmiechniętej twarzy, czytająca klasyków w oryginale, ale zarazem histeryczna – jak mawiał Freud – chorowita i cierpiąca. W jej domu bywała cała śmietanka artystycznego Wiednia. Gustav Mahler i Richard Strauss. Stefan Zweig i Jakob Wassermann. Aktorzy z Burgtheater i malarze.

Klimt zwariował na jej punkcie. Zaproponował, by została jego modelką. Zaczęło się od zlecenia od pana Bauera na portret, a skończyło na trzech wielkich obrazach, setce szkiców węglem i groteskowym romansie ze starzejącym się, brodatym malarzem i bladą panią Bauer w rolach głównych. Ale dla wciąż młodej, afektowanej Adele gruby i chory Klimt to było za mało. Wyciągnęła więc z salonu przy Elisabethstrasse 18 inną ofiarę, dużo młodszego i elegantszego od Klimta studenta medycyny, którym był Wiegemann. Inny Wiegemann niż ten z końca wojny. Wesoły, czarujący, magnetyzujący kobiety jak legendarny Casanova. Kiedy wiele lat później oglądał obrazy, które zostały po burzliwym romansie Klimta z Adele, z pewnym rozrzewnieniem przypominał sobie jej delikatne piersi i płaski, wymodelowany brzuch z wyeksponowanym godnie w samym środku jej fizycznego wszechświata pępkiem. Czy ktoś wtedy wiedział, że Adele choruje na gruźlicę i podczas długich sesji malarskich bez ustanku kaszle? Podobnie zresztą w łóżku, w ramionach Wiegemanna. Dusila się od kaszlu i jakby na złość samej sobie, po każdym zbliżeniu sięgała po papierosa. Nie przestawała zresztą palić w trakcie kolejnego stosunku. Papieros za papierosem. Wychodził z miejsc schadzek, cuchnąc tytoniem. Pędził do kabaretów i pił do rana absynt. Kieliszek po kieliszku, godzina po godzinie. Do momentu, kiedy całkiem już otumaniony usiłował dopełnić na czworakach na kwaterę. Czasem odprowadzał go Schiele, ale rzadko, bo dla Egona liczyło się tylko malarstwo. Nic innego. Nawet siedząc

na kiblu, rysował na skrawkach papieru toaletowego. Egon Schiele. Geniusz, arogant, pornograf.

6.

Dom przy Berggasse 19, całkiem blisko Hofburga, ale jeszcze bliżej kanału, był elegancką kamienicą z naśladową barok bramą, czterema piętrami i ze schowaną w podwórzu oficyną. Wiegemann wbiegł lekko po schodach na drugie piętro i zapukał delikatnie w szerokie dębowe drzwi ozdobione tabliczką z nazwiskiem doktora. Sekundę później usłyszał za drzwiami ciche szmeranie, a po chwili w drzwiach ukazała się służąca, ubrana na granatowo młoda dziewczyna o jasnych włosach, w białym, zdobionym koronkami fartuszkami i z wydatnymi piersiami. „Ależ to obrzydliwie mieszczańskie” – pomyślał.

– Pan Schiele?

– Nie, Wiegemann.

– Zaraz przyjdę.

Odwróciła się i poszła w głąb mieszkania. Pewnie coś skonsultować.

– Proszę wejść, tu jest wieszak na płaszcz. Doktor czeka na pana w gabinecie.

Ruszył dziarsko do gabinetu, ale dziewczyna go powstrzymała.

– Łaskę też proszę zostawić.

Gwizdnął rozbawiony. Kto jak kto, ale gospodarz mógłby sobie darować takie rygory.

Wszedł do niewielkiego pomieszczenia. Freud siedział przy biurku, jakby w samym centrum przedziwnego wszechświata, który tu stworzył. Takiej masy przedmiotów, rzeźb, masek, obrazów, figurek jeszcze nie widział. Wy różniły się rzeźby egipskie, figurki kroczących bóstw z czasów Średniego Państwa. Popiersia starożytnych mędrców. Na półkach sporej biblioteki greckie wazy, rzeźby koni, wielbłądów, murzyńskie maski. W szklanych gablotach kolekcje antycznej ceramiki, a wyżej kopia ceremonialnej łodzi Amona-Re pewnie prosto z Luksoru albo przynajmniej z Port Said. Przyglądał się oszłomiony tej ekspozycji.

- Szuka pan kozetki, prawda? – zaczął Freud.
- Nie, przyglądam się eksponatom tego muzeum, które pan tu stworzył.
- Doprawdy? Myślałem, że to śmieci... – Freud z przekorną satysfakcją pogłaskał brodę.
- Gratuluję takiego śmietnika.
- Przysłał pana doktor Lesser, czy tak?
- Zgadza się, doktor Lesser. Anatomopatolog.
- Tak, znamy się dobrze. Ale miał być Schiele. Coraz głośniej o nim w Wiedniu. Klimt opowiada, że to wyjątkowy talent.
- Przychodzę prosić, by zechciał się nim pan zająć. To mój kuzyn.
- Aha, kuzyn. Ciekawe. Blisko jesteście spokrewnieni?
- Nie całkiem. Ale znam jego rodzinę.
- No właśnie. Bo to ona jest najciekawsza. Swoją drogą, czy czytał pan coś, co napisałem?
- Owszem, ostatnio *Totem i tabu*, ale wcześniej również *Trzy rozprawy*...
- To jest pan nieźle przygotowany.
- Jestem lekarzem.
- To dobrze. Całkiem dobrze.
- Zna pan obrazy Egona?
- Oj, znam świetnie. Zaratusztriańskie starcie Erosa i Tanata, czyż nie?
- Nie rozumiem.
- Jeśli pan czytał Nietzschego, to pewnie pan wie, czym jest bój Arymana z Oromasem. U Schielego jest właśnie to, tyle że bóstwa irańskie zastąpili Eros i Tanatos. Postaci z innej mitologii. Młodszej o parę pokoleń. Innymi słowy, śmiertelne zwanie seksualizmu i autodestrukcji. Ni mniej, ni więcej. Kto wygra? Nie mam pojęcia, ale okaże się to już niebawem.
- Skąd pan to wnosi, doktorze?
- Napięcie jest wyjątkowe w jego sztuce. Nikt tak daleko nie zaszedł w ukazywaniu intymnych części ciała. To autodestrukcja. Zabije go świat, w którym żyje. Kultura, która tego nie znosi. Obsesyjna religia, która z tym walczy, albo przyroda, którą, jako twórca, niebezpiecznie obnaża.
- Nie mistyfikuje pan tych sił?

– To metafory, młody kolego. Mówię tylko o wewnętrznych siłach, które drażą go od środka. Pan wie, że to się nie bierze z niczego?

– Myśli pan o mechanizmie wypierania?

– Tak, on walczy z czymś, co jest skutkiem odległych przeżyć... które zdążył już wyprzeć. Dlatego nie musi być ich świadom. Coś go właśnie tak ukształtowało. Kazało mu malować nagich, brzydkich ludzi. Mężczyzn i kobiety. Co ciekawe, w większej części prac, które znam, to on sam jest bohaterem tych obrazów. Pozornie ilustrują jego seksualność, okazują ją w sposób wyjątkowo ekshibicjonistyczny. Ale to tylko cienki lód, pod którym są ważniejsze rzeczy. Ten turpizm, to poskręcanie ciał jak w agonii, te grube, histeryczne rysy. To jest, proszę pana, Tanatos. To jest symbolika niszczenia samego siebie. To nie jest aprobata, afirmacja ciała, jak to dawniej mówiono, w całej krasie boskiego stworzenia. To kronika rozpadu. Schiele oddaje siebie i swoje kobiety w opiekę aniołowi śmierci. Brzydota, którą duchowny nazwałby diabelską, to ucieczka przed samym sobą w lepszym wydaniu... Tak, on świadomie dokonując destrukcji piękna, niszczy przy okazji dobro, czyli niszczy życie, to pełen wymiar Tanata...

– A czy może go uratować Eros?

– Gdyby mu się oddał w całości? Może tak. Markiz de Sade właśnie tak ocalał. Dożył późnej starości, bo w jego czasach wiek, w którym zmarł, to była późna starość.

– Przyjmie go pan, doktorze?

– Nie wiem, mam wielu pacjentów. Poza tym zbiera się na wojnę. Chyba dojdzie do rzezi.

– Wiem, dostałem już powołanie, ale nie sądzę, by ta wojna trwała długo. To będą tylko manewry. Wszyscy korzystają z pokoju i stabilności granic. Imperia trzymają się w szachu. Padnie jedno, wywrócą się pozostałe. Wszyscy to wiedzą, więc nie robią sobie krzywdy.

– Co się stało z rodzicami Schielego? Ojciec pewnie nie żyje, mam rację?

– Tak, popełnił samobójstwo. Skąd pan wie?

– Widzę to w jego obrazach. Schiele wciąż walczy z ojcem. Nie może się oderwać od jego wyobrażenia i ciągle go niszczy. Niszczy jego odbicie

w sobie. Jest nie tylko jego dziedzicem, ale i kopią. Ojciec to on. On to ojciec. Niszcząc siebie, odpłaca się ojcu za to, że ten go zostawił. Ale jest coś, co mnie dziwi. Pasja, z jaką tego dokonuje. To tak gwałtowne, brutalne, że musi być jeszcze jakiś inny, ukryty powód. Może nieświadomy. Może uświadomiony. Nie wiem. Kim był jego ojciec?

– Zawiadowcą na stacji kolejowej. Zarządzał ruchem lokomotyw.

– Poważnie? – ożywił się Freud.

– Jak najbardziej.

– Ciekawe. Muszę go poznać. Proszę dać mu tę wizytówkę. – Wyjął z portfela i wręczył Wiegemannowi niewielki kartonik. – *À propos*, zna pan Georga Trakla?

– Coś słyszałem.

– Pański kolega, tyle że po farmacji. Taki sam szaleniec jak Schiele. Też Eros z przewagą Tanatosa. No i całkiem wariat. Znajdzie go pan w koszarach w Wiener Neustadt. Polecam. No i niech przyjdzie do mnie ten Schiele.

Z dziwną jak na siebie serdecznością Freud podał rękę Wiegemannowi i odprowadził go do drzwi. Poczul się zmęczony. Zamiast wrócić do gabinetu, poszedł do sypialni i usiadł na krześle, przy niewielkim biurku. W oknie, uwiązane na zwisającym z klamki sznurku, wisiło lustro. Spojrzał w nie bez zastanowienia. Spojrzał i przestraszył się starości.